

Kontynuacja bestsellerowej powieści „GORDIAN. GRZECH”, której finał pozostawił wiele pytań bez odpowiedzi.

Czy bohaterom uda się pokonać przeciwności losu? Czy jest im pisana wspólna przyszłość?

Relacja Kiry i Gordiana ewoluuje – uczucie rodzi się stopniowo, pożądanie zaczyna brać górę nad rozumem. Jednak życie bywa zaskakujące, a los przewrotny. Sprawy się komplikują, wspomnienia z przeszłości wychodzą na jaw, a to, co wydawało się utudą, znajduje racjonalne wytłumaczenie. Gordian będzie musiał zmierzyć się z nieuniknionym. Nadchodzi bowiem moment, kiedy nawet najbardziej nieugięty i nieokrzesany mężczyzna powinien w końcu zrozumieć, że popełnił błędy, za które trzeba ponieść karę.

Copyright © Melissa Darwood
All rights reserved
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2019
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Iga Wiśniewska
Korekta:
Patrycja Siedlecka
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Melissa Darwood
Przygotowanie okładki:
Paulina Klimek
Fotografia autorki:
Kasia Piechocka

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-090-2

MELISSA DARWOOD

GORDIAN

TOM II

KARA

OŚWIĘCIM 2019

Dla tych, którzy czekali na Gordiego i Kirę.

Życzę Wam porywającej lektury!

α

Porażająca światłość. Ból nie do zniesienia. Brak powietrza.

– Oddychaj, proszę, oddychaj! – dobiega do mnie kobiecy głos, niski, gardłowy.

Coś miażdży mi klatkę piersiową. Mam ochotę zawyc z bólu, lecz nie mogę nawet oddychać, a co dopiero mówić o krzyku.

Zamazane oblicze, które pochyła się tuż nade mną, okalają ciemne włosy. Mokra kosmyki suną po mojej twarzy. Pachną morzem i wiatrem.

Kolejny ucisk w żebrach. Czuję żar w oskrzelach, palą żywym ogniem. Zatyka mnie, próbuję nabrać powietrza. Usta wypełnia słony, rybi smak. Odchyłam się na bok i wykastuję morską wodę. Powieki opadają ciężko, nie mogą znieść jasnego światła. W uszach mi dzwoni, we łbie napierdala orkiestra dęta. Ból głowy jest tak potężny, jakby zwaliło się na nią sto cegieł. Czuję tępe pulsowanie w skroniach i potylicy.

Leżę na boku. Słońce pali mnie w twarz, piasek wdziera się do ust, słyszę odgłos fal uderzających o skały.

– Odezwij się do mnie. – Znajomy głos sprawia, że moje powieki unoszą się powolnie. Świat wiruje, wszystko jest zamazane. Przekręcam się z trudem na plecach, czekam, aż wzrok przyzwyczai się do jasności.

Wreszcie obraz się wyostrza. Widzę przed sobą Kirę.

Wpatruje się we mnie przestraszona. Włosy przykleiły jej się do twarzy, pierś unosi się i opada pod wpływem

szybkiego oddechu. Patrzę na nią, starając się odtworzyć w pamięci ostatnie wspomnienia: nagły zwrot łodzią, uderzenie, zanurzenie, krzyż na rzemieniu, unoszący się przed moimi oczami...

I nagle czuję, jak piekielny ból miażdży mi czaszkę. Mi-mowolnie wydaję z siebie stłumiony jęk. Przed oczami pojawiają się ciemne plamy, chce mi się rzygać. Kira mówi coś do mnie, lecz jej głos, tak jak twarz, rozmywają się w czarnej otchłani. Tracę świadomość, popadam w niebyt.

Siedzę na skraju urwiska. Słońce stoi w zenicie. Kolory wokół mnie są tak jaskrawe, nasycone, wyraziste, że aż nie-naturalnie idealne. Niebo jest niebieskie i czyste jak akwamaryn. W oddali majaczą białe jak śnieg wapienne skały. W dole turkusowe morze obija się o ich brzeg, spieniając wodę. U podnóża, w szczelinie, dostrzegam ukrytą zatokę, z wąską plażą o piaszczystym brzegu. Zauważam na niej dwoje ludzi. Młoda kobieta w kostiumie kąpielowym wdrapuje się na skałę. Mężczyzna leży nieruchomo na piasku. Tętno mi przyśpiesza, gdy dociera do mnie, że to przecież ja i Kira. Moje ciało napina się momentalnie, zrywam się na nogi, odwracam i zamieram. Przede mną stoi mój sobowtór. Patrzy na mnie uśmiechnięty z rękoma założonymi na piersi.

– Ale się narobiło... – Zaczyna drwiącym głosem, a ja momentalnie się gotuję. Rzucam się na niego i powalam na ziemię. Unieruchamiam jego korpus nogami, a potem okładam go pięściami po głębie, która wygląda dokładnie tak, jak moja. Uderzam z całej siły, cios za ciosem, masakrując mu facjatę. Dociera do mnie zapach krwi, co więcej, mam wrażenie, że czuję w ustach jej rdzawy smak. Spływający po czole pot przysłania mi pole widzenia, czuję szczypa-

nie pod powiekami. Ocieram szybko oczy przedramieniem i dostrzegam na nim krew. Wykonuję ten sam ruch drugą ręką i widzę, że ta też pokryta jest szkarłatem.

Sobowtór zaczyna się śmiać, głośno, szaleńczo. Czuję, jak piecze mnie twarz, pieczenie przechodzi w pulsujący ból, który rozchodzi się po powiekach, wardze, żuchwie.

– Brawo, wnusiu. Dałeś popis. – Sobowtór patrzy na mnie spod zapuchniętych, pokrwawionych powiek. Z jego rozciątych warg nie schodzi szyderczy uśmiech. – Mnie się nie da pokonać. Żadna siła mnie nie powstrzyma. A ty jesteś już prawie całkowicie mój. Zawsze byłeś mój, genów się nie oszuka. Gdybyś tylko zaczął mnie jeszcze słuchać...

Silny ból rozchodzący się po całej czaszce jest nie do zniesienia. Obraz się rozmazuje, jest mi niedobrze, wszystko wokół wiruje, słyszę jęk.

Przebudzam się i orientuję, że to ja jęcę. Leżę na boku, twarzą na piasku i czuję czyjś dotyk: ktoś głaska mnie po głowie. To mi pomaga.

– Śpij... – Słyszę za sobą szept. Jest kojący, dzięki niemu czuję się spokojny, rozluźniony, zyskuję świadomość ciała. Kira leży wtulona w moje plecy i przesuwa palcami po moich włosach. Czuję ciepło bijące od jej ciała, słyszę jej każdy oddech przemykający po moim karku. Uchylam nieznacznie powieki. Wokół jest ciemno, blask księżyca odbija się od morza. Jego szum i dotyk Kiry wprowadzają mnie w błogi stan. Nie pamiętam już, kiedy ostatnio czułem się taki wyciszony. Jakbym nie był sobą. Powieki opadają ciężko. Zасыpiam.

Widzę mamę w korytarzu naszego mieszkania. Płacze, ubiera się pośpiesznie. Ma lekko zaokrąglony brzuch okryty luźną tuniką. Wiem, że to sen, bo na ścianach wiszą stare tapety, których nie ma tam od co najmniej dziecięciu lat.

Z pokoju dynamicznym krokiem wychodzi ojciec – kolejny dowód na to, że to, co widzę, nie dzieje się naprawdę. To jakaś pieprzona mara. Mimo to puls mi przyspiesza, gdy widzę jego zaciętą gębę. Odzywa się, a jego słowa są jak cios w żołądek.

– Powtarzam ci ostatni raz, masz usunąć ciążę. – Wskazuje na matkę paluchem i zaciska szczęki.

Łzy płyną jej po policzkach.

– Nie rozumiem, dlaczego go nie chcesz. Przecież mówiłeś, że mnie kochasz. – Drżącymi dłońmi oplata szal wokół szyi.

– Kocham cię. – Ojciec łapie ją za ramiona. – Dlatego nie mogę pozwolić, żebyś urodziła to dziecko.

– To dziecko? Mówisz tak, jakby nie było nasze, jakby było obce. To jest owoc naszej miłości.

– Nie! – Potrząsa nią, jakby chciał ją ocucić. – Ja nie powinienem mieć dzieci. Ja nie mogę mieć dzieci.

– Możesz i będziesz miał, Nikosie. Dlaczego nie chcesz go pokochać tak jak mnie?

– Bo genów się nie oszuka. Nie powinienem był pojawić się na tym świecie i on też nie może się urodzić. Jest przeklęty, tak jak ja. – Puszczą ją, ramiona mu opadają, jakby przygniótł je ogromny ciężar.

– Co ty mówisz? – Mama wpatruje się w niego, próbując go zrozumieć.

– Jestem opętany. Zabiłem człowieka. Zabiłem, kurwa, człowieka i on też w końcu kogoś zabije!

– Oszalałeś... – Mama zapina pośpiesznie kurtkę. W jej oczach widać strach, rozpacz. – Nie będę tego słuchać. Urodzę to dziecko, Nikosie, pogódź się z tym. – Łapie za klamkę i wybiega z domu.

Taboret z przedpokoju uderza z łoskotem o drzwi. Wściekły wrzask ojca roznosi się echem po klatce schodowej.

Słyszę wołanie. Kobięcy głos. Nie wiem, czy to nadal sen czy rzeczywistość.

– Tutaj! Pomocy!

Chcę się ruszyć, lecz ciało mam ociężałe jak głaz. Jest mi diabelnie gorąco, mam sucho w ustach, jestem cholernie spragniony. Język jest zdrętwiały niczym kołek.

– Gordian, obudź się... – Słyszę zachrypnięty głos Kiry zagłuszany przez odgłos przypominający wycie silnika.

Uchylam powieki, razi mnie słońce, nic nie widzę.

– Przypląnęła łódź... – Ekscytacja w jej głosie sprawia, że moje ciało nieco się ożywia. Nachyla się nade mną, rzucając cię na moją twarz. – Dasz radę wstać? – Przesuwa dłonią po moim ramieniu.

Łeb mnie napierdala, nie mam ochoty ruszać się z miejsca. Lecz jakaś część mnie każe mi się wziąć w garść.

– Gordian, słyszysz mnie? – Kira ujmuję moją twarz w dłonie i zagląda mi w oczy. W jej spojrzeniu jest coś, co sprawia, że serce szybciej pompuje mi krew.

– Daj mi kilka sekund – mówię zachrypniętym głosem, po czym wstaję powoli, kuląc się jak jakiś jebany inwalida.

Kurwa, już drugi raz wychodzę na mięczaka przy Kirze. Usiłuję utrzymać równowagę, choć kręci mi się w głowie. Kira łapie mnie w pasie, żebym nie upadł. Staram się nie wspierać na jej ramieniu. Koniec z tym, choćby świat się walił, już więcej nie zrobię z siebie przed nią fujary.

– Zostaw. Sam dam radę – cedzę przez zęby, zataczając się po piachu jak pijak. Muszę jakoś stłumić mdłości i ten piekielny ból głowy. Widzę przed sobą jacht motorowy z brytyjską flagą, który dryfuje przy brzegu. Dziewczyna mniej więcej w moim wieku, w przeciwsłonecznych okularach i bikini, patrzy w naszą stronę. W tym samym czasie idzie do nas jakiś fagas w średnim wieku z obwisłymi

cycami, oponą tłuszczową w pasie, w czapce z daszkiem, polówce i szortach w palemki.

Jakim pieprzonym cudem udało im się w ogóle dobić do brzegu? – pytam sam siebie i dopiero teraz się orientuję, że w ogóle nie ma wiatru. Morze jest spokojne, gładkie jak tafla lodu.

– Co się stało z waszą łodzią? – pyta koleś po angielsku z brytyjskim akcentem i podchodzi do mnie, rozglądając się wokół.

– Wpierzdolona przez mureny – odpowiadam.

– Co?

– Takie ryby, Einsteinie. – Zataczam się mimowolnie.

– Gordian – upomina mnie Kira i łapie w pasie.

– Mówiłem, że dam sobie radę. – Odpycham ją, po czym zmierzam wężykiem w stronę łodzi.

– Przepraszam, mój brat źle się czuje. Mieliśmy wypadek... – tłumaczy facetowi, lecz ja nie słucham jej dalszego wywodu, bo w głowie dudni mi tylko jedno słowo.

– Brat? – przerywam jej w połowie zdania. – Brat?

Kira mruga do mnie.

– Dlaczego do mnie mrugasz? – Czuję, że zaczynam się gotować. Nie dosyć, że rozpierdoliłem łódź, za którą będę musiał wybulić milion monet, i czuję się, jakbym kręcił się bez ustanku na diabelskim młynie, to Kira jeszcze wyjeżdża z braterskim tekstem.

– Jezu, Gordian. Daj mi mówić... – Chwyta mnie za ramię, ściska biceps, jakby chciała mnie uciszyć, po czym uśmiecha się do fagasa. – Jesteśmy przybranym rodzeństwem. Wybraliśmy się na wycieczkę i nasza łódź motorowa się wywróciła. Zabrał ją odpływ. Spędziliśmy na plaży wczorajszy dzień i całą noc. Moglibyśmy zabrać się z wami do najbliższej przystani?

Koleś otwiera szeroko oczy, jakby odnalazł Toma Hanksa z Wilsonem z *Cast Away*.

– I nic nie piliście i nie jedliście od wczoraj?

– Tobie też dobrze zrobiłaby taka głódówka – zauważam, a Kira niemal miażdży mi ramię w żelaznym uścisku.

– Przepraszam na moment... – Rzuca Brytyjczykowi zdawkowy uśmiech i ciągnie mnie pod skałę wyrastającą z płycizny.

Idę za nią, a świat wiruje. Chce mi się śmiać z całej tej sytuacji. Miałem zrobić wrażenie na Kirze, a zrobiła się wielka kupa.

– Co ty odwalasz? – Puszczam moje ramię. W jej oczach dostrzegam gniew. Dopiero teraz zauważam, że ma podkrążone powieki, a na jej twarzy widać zmęczenie. – Jeśli chcesz tu zostać sam, to śmiało, ubliżaj dalej facetowi, który może ocalić nam tyłki – mówi do mnie głośno i ze złością.

Zerkam na fagasa, który najwyraźniej przedstawia cały obraz swojej pannie, bo ta z niedowierzaniem kręci głowę, jakbyśmy przetrwali miesięczny pobyt na bezludnej wyspie.

– Przez swoją próżność i pewność siebie omal nas nie zabiłeś – ciągnie Kira. – Najpewniej masz wstrząśnienie mózgu, bo chodzisz jak pijany i zachowujesz się jak totalny cham. Oboje jesteśmy odwodnieni, więc jeśli on nas stąd nie zabierze, nie wiem, ile jeszcze tu wytrzymamy.

Patrzę na nią i dociera do mnie sens jej słów. Przesuwam dłonią po włosach. Kurwa, ona ma rację. Przypominam sobie klatka po klatce wczorajsze zdarzenie i coś mi nie pasuje. To, w jaki sposób łódź stanęła dęba, było totalnym przeciwieństwem jakichkolwiek praw fizyki. Nie mam jednak siły na dochodzenie teraz, czy to była wina podmuchu wiatru czy zbyt dużej fali.

– Mieliśmy pecha – stwierdzam.

– Pecha? – Kira marszczy czoło. – Widziałeś, jaki był wiatr, więc dlaczego z takim uporem brnąłeś łodzią do brzegu? Dlaczego nie odpuściłeś?

Zaciskam szczęki.

– Bo ja nigdy nie odpuszczam, zwłaszcza gdy czegoś pragnę – mówię i przybliżam się do niej. Mam zawroty głowy, lecz staram się je ignorować. – Dlaczego nazwałeś mnie bratem?

Unosi brew.

– Bo chciałam wzbudzić w facecie litość. Rodzeństwo rozbitków brzmi zdecydowanie lepiej niż rozbici kochankowie.

– Nie jesteśmy kochankami.

Jeszcze nie.

Kira wywraca oczami.

– Ale on tego nie wie, więc wołałam powiedzieć mu, że jesteś moim bratem. – Patrzy na mnie, po czym przesuwa dłońią po moich włosach. – Jesteś zmęczony, nie zachowujesz się normalnie i jeszcze ta twoja głowa. Skończmy już z tym i wracajmy do twojej babci.

– Co z moją głową?

– Z tyłu masz ranę, musiałeś się mocno uderzyć, kiedy łódź się wywracała.

Unoszę dłoń, dotykam potylicy i czuję rozcięcie. Skóra szczypie mnie jak cholera. Przypominam sobie, że faktycznie srogo zajebałem, lecz nie pamiętam, co było potem. Mogę się tylko domyślać, że wpadłem do wody.

– Jak znalazłem się na brzegu?

– Wyciągnęłam cię i reanimowałam.

– Co?

– Po tym, jak łódź się wywróciła, szukałam cię na powierzchni. Nurkowałam, jednak nigdzie nie mogłam cię

dostrzec. Aż w końcu ujrzałam światło. Zanurzyłam się głębiej i wtedy zobaczyłam, jak bezwładnie idziesz na dno, podczas gdy ten krzyż... – bierze do ręki drewniany wisiołek, który wciąż mam na szyi – jarzył się bladoniebieskim światłem, jakby wskazywał mi drogę do ciebie. – Spogląda na mnie pytającym wzrokiem. – Nie wiedziałam, że jest fluorescencyjny.

– Obstawiam bioluminescencję, pewnie obsiadły go jakieś glony – odpowiadam machinalnie, zrywam rzemień i wkładam wisiołek do kieszeni. Moje myśli zaprzęta teraz coś innego niż jakiś pieprzony krzyż. Dociera do mnie, że Kira uratowała mi życie. Gdyby nie ona, byłbym trupem. I to przez własną głupotę.

β

Płyniemy w zawrotnym tempie, morze jest na tyle spokojne, że łódź nie kołysze się na boki. Mimo to mam jakąś pieprzoną chorobę morską. Kręci mi się w głowie, brakuje apetytu, zwymiotowałem całą wodę, którą dostałem od turystów. Kira patrzy na mnie z niepokojem, kiedy zataczam się na rufie od lewej burty do prawej.

– Może usiądź, bo zaraz wypadniesz! – przekrzykuje odgłos silnika.

– Nie wypadnę. – Muszę stać, bo znowu się porzygam. Nie mogę znieść litości, którą dostrzegam w jej spojrzeniu. Ostatnie, czego mi potrzeba, to użalanie się nade mną. Staram się skupić wzrok na wybrzeżu wyspy, na szczegółach: jaskiniach, domach u stóp wzgórz, mijanych motorówkach. Wszystko płynie, faluje.

Kira wychyla się w stronę zabudowanej konsoli, gdzie siedzą Brytyjczycy. Już wyłapałem z ich rozmów, że facet ma na imię Logan, a babka Ruth.

– Daleko jeszcze do tej przystani? – pyta ich, czym tylko mnie wkurwia. Przecież znam tę wyspę lepiej niż ci nazdiani turyści.

– Jakies dwadzieścia minut – słyszę odpowiedź.

– Najbliższa przystań jest jakieś dwa kilometry stąd – koryguje.

Brytyjczycy patrzą na siebie, po czym przenoszą pytający wzrok na Kirę.

– Ale przecież z zatoki będziecie mieli najbliżej do szpitala – mówi fagas.

– Szpitala? – pytam i czuję, że chuj mnie strzela. Nie pójdę do żadnego pierdolonego szpitala, a na pewno nie w Grecji, gdzie na przyjęcie będę czekał cały dzień. Na prywatny szpital szkoda mi kasy, więc sprawa rozwiązana. – Kto was w ogóle, kurwa, o to prosił?

– Ja ich o to prosiłam – odpowiada Kira. – Skontaktowałam się przez komórkę Logana z moim tatą, kiedy wymiotowałeś. Mają podjechać do nas do szpitala...

Na moment serce mi się zatrzymuje.

– Coś ci dolega, że chcesz jechać do szpitala? – dopytuję, przyglądając jej się uważnie. Mój mózg w przyspieszonym tempie analizuje, czy przypadkiem Kirze nic się nie stało podczas wypadku.

– Mnie nie, ale tobie tak.

Serce zaczyna ponownie bić, narasta we mnie frustracja. Kira powiadomiła rodziców bez konsultacji ze mną. Pewnie są już w drodze. Znając matkę, umiera ze strachu o swojego Gordiego, a Serafin obmyśla jakąś moralizatorską gadkę. W sumie należy mi się od niego zjebka; naraziłem zdrowie i życie jego córki. Na jego miejscu sklepałbym miche takiemu koleśowi jak ja.

– Nic mi nie jest i nie pojedę do żadnego szpitala. Niepotrzebnie martwiłaś rodziców.

– Jak to, nic ci nie jest? – Po jej tonie głosu poznaję, że zaczyna się powoli wkurzać. Świetnie, jest nas dwoje. – Masz ranę na głowie, chodzisz jak pijany i w ogóle jesteś jakiś nieswój. Ublizasz tym Bogu ducha winnym ludziom, którzy ocalili nam tyłki. W stosunku do mnie też jesteś niemiły... – W jej głosie słychać urazę.

– Nie potrzebuję żadnej cholernej pomocy, Kiro. Nie jesteś moją matką, żeby mnie niańczyć. Ani żoną, której i tak nigdy nie zamierzam mieć. Nikt nie będzie mówił mi, co mam robić. Jestem dorosłym facetem i od dawna radzę sobie sam. Póki trzymam się na nogach, nie trafię do żadnego szpitala. Ranę na głowie może opatrzyć lokalny lekarz – mówię twardo. – Zadzwoń do rodziców, uspokój ich i odwołaj ich przyjazd. Nie wiem, co sobie myślałaś. Jeszcze mi tylko brakuje, żeby matka przeze mnie dostała rzutu. – Omijam ją i idę wkurwiony na dziób. Byle dalej od niej, żeby tylko nie powiedzieć czegoś więcej, czego będę później żałował.

Czuję, że nerwy mnie ponoszą. Przed oczami stoi mi twarz roztrzęsionej matki i mam ochotę w coś przypierdolić. Po jaką cholere ta dziewczyna w ogóle dzwoniła do starych? Czuję pulsowanie w skroniach, ale chyba lepiej mi na żołądku, bo mam niepohamowaną ochotę na czekoladę. Mleczną, bez żadnych dodatków.

– Macie może czekoladę? – Pukam w szybę konsoli, przez którą widać Brytyjczyków.

– Niestety – odpowiada dziewczyna.

Oczywiście, kurwa, że nie mają. Pewnie pierwszym, co zrobili po wejściu na łódkę, było wpierdolenie wszystkich słodczy, które zabrali na czas swojego rajskiego rejsu. Pieprzone tłuszczochy.

– A jakiegoś batona? – pytam niczym żebrak.

– Przykro mi.

– Papierosa?

Kręcą oboje głowami i w tym samym momencie widzę, jak do konsoli wchodzi Kira. Ma poważny wyraz twarzy, ramiona napięte. Prosi Logana o komórkę, po czym wychodzi na rufę i telefonuje.

Nie zamierzam podsłuchiwać. Kira rozmawia jednak tak

głośno, przekrzykując wycie silnika, że jej głos mimowolnie dociera do moich uszu.

– Nie przyjeżdżajcie... – mówi do telefonu, chodząc po rufie. – Tak, już mu lepiej... Pójdzie do lekarza na miejscu... Nie, tato, naprawdę. Wezwiemy taksówkę z przystani, zapłaci się na miejscu... Mnie nic nie jest... Na pewno... Z nogą w porządku, trochę tylko rwie... Dobrze. – Śmieje się. – Umieram z głodu, więc zjem wszystko... Tak... Powiedz jej, że będę się nim opiekować, tak jak obiecałam. Chociaż on nie chce żadnej pomocy... Tak, wiem. Dlatego uspokój ją, że wszystko z nim dobrze... Może lepiej niech z nim teraz nie rozmawia. Jest strasznie rozdrażniony, jeszcze powie jej coś przykrego... Ja ciebie też kocham... Pa.

Rozłącza się, siada na drewnianej ławce i patrzy w dal. Jej ostatnie słowa z rozmowy telefonicznej docierają do mnie ze zdwojoną mocą. Zastanawiam się, czy nie zachowałem się wobec niej jak totalny kretyn. I jeszcze ta jej nieszczęsna noga. Przez chwilę waham się, czy nie podejść do Kiry, lecz wciąż jestem wkurwiony. Nie myślę trzeźwo, wszystko mnie drażni. Nie wiem, czy to z powodu odwodnienia czy tych pierdolonych snów, czy przez uderzenie w łeb. Postanawiam na razie zostawić Kirę w spokoju. Nie jestem pewien samego siebie. Co do jednego nie mam wątpliwości: nie nadaję się na żadne, kurwa, związki. A na pewno nie na takie, w których ktoś mówi mi, co mam robić.

Zalegam na dziobie i przykrywam twarz ręcznikiem Brytyjczyków, który pachnie lawendą. Łódź się kołysze, przez co mam zawroty głowy. Ból jest już jednak znacznie mniejszy. Staram się wyluzować, wsłuchać w szum fal. Zapadam w sen.

Budzi mnie szturchnięcie w ramię.

– Wstawaj, zacumowaliśmy. – Słyszę głos Kiry.

Powracam szybko do rzeczywistości. Nie kojarzę, żeby mi się coś śniło. Zsuwam ręcznik z twarzy, a potem czekam, aż wzrok przyzwyczai się do jasności. Kira zeskakuje z dziobu na pomost znajomej przystani. Siadam, spodziewając się ponownych zawrotów głowy, lecz te nie nadchodzą. Tylko tępy ból rozchodzi się z tyłu czaszki. Wstaję i czuję, że mam się dużo lepiej niż ostatnio. Brytyjczycy szykują się do opuszczenia łajby. Facet zakłada bluzę, dziewczyna zarzuca na siebie tunikę.

– Dzięki za podrzucenie – mówię i zbieram się do zejścia z dziobu.

– Nie ma sprawy – odpowiada Logan. – Mam nadzieję, że szybko wydobrzejesz.

– Nic mi nie jest – rzucam i schodzę na pomost.

Kira nie czeka na mnie, tylko podąża w stronę ulicy, kulejąc. Idę za nią i łapię się na tym, że gapię się na jej kołyszący tyłek. Co więcej, ręce mnie świerzbią, żeby chwycić ją za te jędrne pośladki. Najchętniej dałbym jej teraz klapsa za to, że tak na mnie działa. Ale to dobrze. To znaczy, że wracam do formy. Uśmiecham się do siebie. Nic i nikt mnie nie pokona.

Kira nawet nie patrzy w moją stronę, kiedy wsiada do taksówki. Przez moment jestem pewien, że odjedzie beze mnie, ale ona zostawia uchylone drzwi. Dobre i to. Poboczny się trochę i jej przejdzie. A ja jej w tym pomogę.

– Dzięki, że na mnie poczekałaś – odzywam się, zajmując miejsce obok niej.

Nie odpowiada. Chyba naprawdę znalazłem jej za skórę. Po zatrzaśnięciu drzwi podaję kierowcy adres Kalisty. Kira siedzi z dłońmi wciśniętymi między uda i wygląda przez okno. Mijamy sklepy przy głównej ulicy oraz pub, w którym graliśmy w bilard, a potem tańczyliśmy. Na

samo wspomnienie tego, jak się wtedy o mnie ocierała, jaka była napalona i gotowa na więcej, czuję pulsowanie w kroczu. Obrazy przemykają przez mój umysł – to, jak dotykałem jej w basenie, jak później rozmawialiśmy. Coś we mnie pragnie, żeby znowu było tak między nami. Chyba pora się zrehabilitować.

– Nie powinienem był tego mówić – zaczynam.

– Czego konkretnie? – pyta chłodno, nie odrywając wzroku od widoku za szybą.

– Tego o matce i żonie.

– Powiedziałeś prawdę. Nie jestem dla ciebie ani jedną, ani drugą, i nigdy nie będę.

– To o co jesteś zła?

Przenosi na mnie wzrok. Patrzy mi w oczy.

– Nie jestem zła.

– Przecież widzę.

– Nic nie widzisz, nic nie wiesz, nic nie rozumiesz, Gordianie. A ja nie zamierzam tego zmieniać. Dałeś mi jasno do zrozumienia, że mam się nie wtrącać, więc nie będę.

– Czyli między nami wszystko okej?

– Ta – rzuca od niechcienia, odwraca ponownie głowę i patrzy przez szybę. A ja wiem, że wcale nie jest między nami okej i za cholerę nie rozumiem dlaczego.

– Przecież miałem być z tobą szczerzy – przypominam.

– I byłeś – stwierdza, jakby chciała mnie zbyć.

– Mam udawać, że pasuje mi, kiedy kobieta traktuje mnie jak niepełnosprawnego?

Nigdy, kurwa, w życiu – dopowiadam sam sobie w myślach.

Kira ponownie zerka w moją stronę. Ściąga brwi.

– Nigdy nie traktowałam cię jak niepełnosprawnego.

– A jednak już dwukrotnie się tak przy tobie czułem – przyznaję zgodnie z prawdą. – Facet powinien być silny, nie użalać się nad sobą, nie skarżyć się, nie marudzić. Być może jestem konserwatywny, ale uważam, że kiedyś mężczyźni z godnością znosili ból i niepowodzenia. Walczyli z dzikością natury o przetrwanie, własne i swoich kobiet. Byli dla nich swego rodzaju falochronami. Własnymi rękoma zdobywali pożywienie, przelewali krew za wolność na wojnach, by kobiety mogły przetrwać, przedłużyć gatunek ludzki. Do tego stworzyła nas natura, nie bez powodu jesteśmy wyżsi, silniejsi, mamy większą skłonność do dominacji i agresji. A współczesne kobiety za wszelką cenę próbują to w nas stłamsić. Ale to nie dla mnie, nie jestem cipą.

Kira przechyliła głowę, jakby analizowała dogłębnie moje słowa.

– Uważasz, że chcę cię stłamsić?

– Nie wiem, czy chcesz, ale to robisz.

– Bo namawiałam cię na wizytę w szpitalu? – pyta z niedowierzaniem.

– Bo zachowywałaś się, jakbyś lepiej wiedziała, czego mi trzeba. Co więcej, zaangażowałaś w to moją matkę, która jest chora i powinna mieć święty spokój.

Patrzy mi w oczy. Między jej brwiami pojawiają się trzy pionowe zmarszczki.

– Źle mnie zrozumiałaś. Myślałam, że masz wstrząśnienie mózgu. To była troska.

– Tylko że ja nie potrzebuję troski, Kiro. Ani od ciebie, ani od nikogo innego. Chcę z tobą robić milion innych rzeczy, o których nawet nie masz pojęcia. Ale bawienie się w ułomnego ćwoka, którym powinnaś się zajmować, nie wchodzi w grę. Ani teraz, ani nigdy. Potrafisz to zaakceptować?

Nie spuszcza ze mnie wzroku, patrzy na mnie przenikliwie, myśli. Po kilkusekundowej ciszy wreszcie się odzywa.

– W porządku. Rozumiem.

– Rozumiesz?

– Tak. Doskonale wiem, o czym mówisz. – Przez ton jej głosu przebija autentyczna szczerść, pozbawiona wcześniejszej obrazy.

– Mówisz poważnie czy to sarkazm?

Patrzy mi w oczy.

– Poważnie. Masz rację. Przepraszam, że cię tłamsiłam.

Unoszę brwi. Mam wrażenie, że wygrałem w totka. Kurwa, ta dziewczyna to złoto. Mało tego, że piękna, z boskim ciałem, silnym charakterem, to potrafi zrozumieć takiego pojeba jak ja i do tego jeszcze go przeprosić.

– Ja też przepraszam – mówię, opieram głowę o zagłówek i zamykam oczy. Muszę jakoś poradzić sobie z tym jebanym bólem i zawrotami.